

A płyńcież!

Lord Jim, reż. Maciej Podstawny, Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu, Teatr Współczesny w Szczecinie

**HENRYK MAZURKIEWICZ**

Doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny, członek redakcji portalu „Teatralny.pl”. Píše dla

A A A



W ten sposób przeczytać *Lorda Jima* Josepha Conrada mogli tylko w Teatrze Dramatycznym w Wałbrzychu. Choćiaż, jak skromnie podpowiada podtytuł, było to jedynie „ćwiczenie w czytaniu”.

Zaznaczmy od razu, ćwiczenie spod znaku dekonstrukcjonizmu, a nie hermeneutyki. Szczególna performatywna wersja derridiańskiej filozoficzno-literackiej zabawy, którą scena ta aktywnie praktykuje nie od dzisiaj. W tym wypadku jej wyjątkowość polega na tym, że Maciej Podstawny i Sebastian Majewski nie tyle dialogują z samym tekstem i jego autorem, chociaż dokonują wyraźnej „rozbiórki” niektórych fragmentów

na czynniki pierwsze, tylko posługują się znanym dziełem, żeby na jego przykładzie wykazać niedorzeczność i płynące z tej niedorzeczności niebezpieczeństwo (nad)używania niektórych strategii (nad)interpretacyjnych. To spektakl-przestroga. Jeżeli, jak twierdzi wspomniany francuski filozof, „nie ma nic poza tekstem”, jedynym rozsądnym rozwiązaniem pozostaje nieustanne ćwiczenie się w byciu uważnym odbiorcą. Bowiem perspektywa rysuje się następująco: albo ty się zajmiesz tekstem, albo tekst zajmie się tobą.

„Zrobimy lekturę tak, by Państwo na nowo zapragnęli ją czytać” – zapewniają twórcy w notce spektaklowej. Nie mogę mówić za wszystkich, ale w moim przypadku zadziałało. Od razu po powrocie z Wałbrzycha sięgnąłem po oryginał. Nie jest to dzieło szczególnie łatwe i przyjemne w odbiorze. Gdyby nie spektakl, z pewnością bym do niego nie wrócił. Lecz szczególny urok tego pospektaklowego wgrzyzania się w znaną szkolną lekturę polegał na tym, że zacząłem dostrzegać jej hagiograficzny potencjał. Rzeczywiście, o czym wcześniej raczej bym nie pomyślał, da się, odpowiednio przymrużywszy oko, spojrzeć na powieść Conrada jako na literaturę paraleligijną. Pasja Lorda Jima! Ale zanim każdy z widzów dostanie mały obrazek z wizerunkiem nowego lokatora panteonu świętych na tle scenografii i długą modlitwą na odwrocie, pojawi się w wałbrzyskim przedstawieniu kilka innych, komplementarnych poniekąd, ale wielce interesujących samych w sobie wątków.

Pierwsza, oddzielona od drugiej piętnastominutową przerwą, część przedstawienia to dalekie od klasycznej swej formy spotkanie i zapoznanie się z bohaterem, podczas którego w szczególny sposób zostaje zrelacjonowane jedno z decydujących wydarzeń jego życia. Ale najpierw czeka nas zwistowe *intro* z Maciejem Litkowskim w głównej i jedynej roli. Jego krótkie solo, odpowiednio „strojąc” widzów, jest kamertonem dla całego przedstawienia. Z rękoma pobrudzonymi krwią i krwawym znakiem na czole, oparłszy przedramiona o głowy poblyskujących złotem posągów dwóch psów z rodowodem, opowie historię o zwykłym dworskim kundlu. Swą obecnością w nieodpowiednim miejscu ten niepozorny zwierzak ledwo nie doprowadził do nieporozumienia, które łatwo mogło się skończyć ordynarnym mordobiciem. Opowiadacz tej zabawnie absurdalnej anegdotki, która każe zastanowić się nad mechanizmami rządzącymi naszym zachowaniem, wygląda niczym Dexter ze słynnego serialu o seryjnym zabójcy. Skojarzenia te potęguje półprzezroczysta plastikowa zasłona, która wspomnianemu bohaterowi gwarantowała skuteczne ogarnięcie „skutków” jego krwawych czynów. No i te błyszczące, kryształowe oczy aktora! Za chwilę poderwie się do przeraźliwego tańca i zacznie odsłaniać ukrytą dotychczas scenografię, dzięki czemu w jednej chwili znajdujemy się wśród rzeczywistości szpitalnej rutyny. Dopiero teraz zobaczmy Jima. Grający go Piotr Tokarz, ubrany w śnieżnobiłą koszulę pacjenta, siedzi na wózku inwalidzkim. Wygląda apatycznie, zobojętniale. Jest nieobecny, czy raczej obecny gdzie indziej. Toczy swój monolog gdzieś tak głęboko w środku, że nie dochodzi do nas nawet echo tego solilokwium. Chociaż, być może, jest on po prostu pusty. Zabawka w stylu *make it yourself?* Maskotka do wypychania „watą” naszych wyobrażeń, uprzedzeń i dążeń?

Przed premierą Podstawny słusznie zwracał uwagę, że „w książce głównie się opowiada o Lordzie Jimie”, dlatego pozostaje on bohaterem, „który nie ma głosu”. Przyjmując podobną strategię, reżyser nakazuje Tokarzowi milczeć. W pierwszej części wypowiedzi zaledwie kilka zdań. Nie o wiele rozmowniejszy będzie w części drugiej. To wszyscy inni będą z zachłannością opowiadać o nim, a raczej opowiadać i wypowiadać jego. Będą po kolei, często przeskakując i niespodziewanie urywając wątki, dzielić się z widzami swoją wiedzą o tej zagadkowej postaci. W trakcie tej wspólnej, niemalże rytualnej próby rekonstrukcji-reanimacji wczesnych lat Jima, jej bohater na naszych oczach poddany zostaje operacji chirurgicznej. Tryska krew. Dookoła krzają się zatroskani i nieco bezradni lekarze. Wkrótce w rękach jednego z nich pojawia się kawał malinowej galarety przypominający ludzkie serce. Przeszczep? Czy może wiwisekcja? Raczej to drugie, bowiem serce po skończeniu drastycznego zabiegu podarte na kawałki i migoczące niczym światełka choinkowe, zostaje beczelnie wystawione na pokaz. Taka lekko-poetycka symbolika zabiegów dokonywanych przez twórców nad postacią literacką i tekstem.

Następuje rekonstrukcja wydarzeń, które doprowadziły do tego, że Jim, lekceważąc obowiązki i zdradzając własne wyobrażenia o odwadze i honorze, w ślad za innymi członkami załogi skacze z tonącego statku. Na pokładzie zostaje ośmiuset pielgrzymów, którzy nawet nie podejrzewają nadchodzącej katastrofy. Wydaje się, że sprawa jest jasna. Winni są rzeczywiście winni i wyrok może być tylko jeden. „Czyżby!?” – gorzko-ironicznie uśmiecha się do nas wałbrzyski spektakl i ma do tego uśmiechu prawo. Gdzie jak gdzie, ale w teatrze świadomie badającym możliwości i granice sztuki performatywnej dobrze wiedzą, że, jak lubi powtarzać Richard Schechner, nie do końca wiemy, „co ludzie robią, kiedy to właśnie robią”. Dlatego przedstawienie da się też czytać jako studium tej szczególnej i paradoksalnej, lecz całkiem ludzkiej wiedzy-niewiedzy. Usłyszymy sprawozdanie z wypadków, które dokładnie rozłożone zostają na „po pierwsze...”, „po drugie...” i „po trzydzieste trzecie”. Te liczebniki powtarzane są niczym mające magiczną, obiektywizującą moc zaklęcia. Ubrana w perukę i grająca na fortepianie pani sędzia, postać jakby wycięta z utworów Lewisa Carrolla, potwierdzi prawdziwość/fałszywość każdego z wyznaczonych punktów sprawy. Lecz coś z tego, skoro niestabilne, radioaktywne atomy faktów rozpadają się na nieuchwytnie cząstki elementarne szczegółików i bozony drobnostek. Z tym szczególnym poczuciem rozdrobnienia, fragmentacji i niespójności współgra scenografia Mirka Kaczmarka. Atakuje widza natłokiem detali i nieoczekiwanym ich zestawieniem. Jeżeli po prawej widzimy kawałek zielonej wyspy z palmami, to po lewej w głębi – salę operacyjną urządzaną jakby w jednym z technicznych pomieszczeń szpitalnych. Niemalże pośrodku stoi ogromny sklecony z dykty stół. Na nim w dekoracjach odtworzonego za pomocą miniaturowych figurek teksańskiego rancho będzie się toczyć całkiem (nie)dziecinna zabawa w pielgrzymowanie i zatonięcie. Obok stoi niczym pomnik pokaźny model wspomnianego już statku Patna. Na ścianie wisi ogromna mapa świata i medyczne „mapki” licznych ludzkich wnętrzności. Do tego dochodzą kolekcje motyli, obrazki, kajdanki, pistolety do pojedynkowania, stara zardzewiała szpada, zdjęcia rentgenowskie, małe drewniane koło i polskie godło. Czyli całkiem pokaźny zestaw artefaktów. Jeżeli się postarać, dałoby się to wszystko, jak również wydarzenia związane z (nie)zatonieniem Patny, ogarnąć w ramach jednej obowiązującej narracji. Jednak na jak dalekie uproszczenia i przenilczenia będziemy musieli przy tym się zgodzić? Bo każdy fakt, jak dowodzi tego scenografia, niczym zapisana karta, zostaje niemalże natychmiast pożarty przez „niszczarkę” naszej subiektywności. Dlatego każdy z nas, a nie tylko aktorzy w tym spektaklu, brnie tak naprawdę niemalże po kolana zanurzony w tym „informacyjnym spaghetti”, które nieustannie próbuje katalizować i rozstawić po półkach.

Lorda Jima śmiało też można zakwalifikować do przedstawień muzycznych. Jeżeli w pierwszej części tworzoną na żywo fonosferę dało się jeszcze uznać za towarzyszące, kształtujące nastroj tło, to po przybyciu głównego bohatera na wyspę Costa Guana zaczyna się prawdziwy koncert choralny. Chociaż nazwać by to należało raczej radosnym nabożeństwem na cześć nowego „pasterza”. Chodzi rzecz jasna o Jima, który siedzi teraz na drewnianym palankinie, przyjmując kwiaty i medytuje, słuchając czczących jego osobę śpiewów. Jest władcą tego miejsca. Nadzieją i ratunkiem tubylców (wśród których raptem znajdzie się Rodion Raskolnikow ze *Zbrodni i kary* Dostojewskiego). Kiedy na wyspę napadnie merkantylny i bezwzględny, wyglądający niczym amerykański komando Pan Brand (Michał Kosela), jedynie Jim będzie w stanie zaproponować „taktykę honorową i doskonałą”. Niestety, jak dobrze wiemy, nie wszystko pójdzie zgodnie z planem. Czeką nas strzelanina i zdrada. Sensowne i mniej sensowne akty poświęcenia. Ale powtórzmy, faktografia ma tu znaczenie zupełnie drugorzędne. Gdy naród pragnie powołać do swych symbolicznych szeregów nowego bohatera, jakaż siła ten naród będzie w stanie powstrzymać?

W moim odczuciu *Lord Jim*, będąc koprodukcją z Teatrem Współczesnym w Szczecinie, jest spektaklem na wskroś wałbrzyskim. Wraz z *Moby Dickem* tworzy prawdziwy morski dyptyk, chociaż w tym ostatnim nie wiadomo było, czy załoga kapitana Ahaba w ogóle wypłynęła z portu. Znowu duet Maciej Podstawny i Mirek Kaczmarek. Znowu wideo akompaniament Amadeusza Nosala, który tym razem najpierw ostrożnie ilustruje, żeby pod koniec pozwolić sobie na całkiem poetyckie i wieloznaczne skojarzenia i wizje. Na swoim miejscu było koczujące ze spektaklu na spektakl piano. Tylko że zamiast Dariusza Skowrońskiego i jego krótkich mądrych rad życiowych, pod koniec *Lorda Jima* dostajemy wyraźne ostrzeżenie, że zabawa w symbolikę, nagminne epatowanie słowami pisanymi wielką literą i rekonstruowanie przeszłości względem konkretnych i całkiem przyziemnych celów politycznych są cholernie niebezpieczne. Szczególnie że wszyscy płyniemy po tym morzu dziejów na jednym statku. Miejmij nadzieję, iż nie stanie się on kolejną Patną.

17-01-2018

GALERIA ZDJĘĆ

LORD JIM, REŻ. MACIEJ PODSTAWNY, TEATR DRAMATYCZNY W WAŁBRZYCHU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Dramatyczny w Wałbrzychu, Teatr Współczesny w Szczecinie

Joseph Conrad

Lord Jim

tekst i dramaturgia: pilgrim/majewski

reżyseria: Maciej Podstawny

scenografia, kostiumy, światło: Mirek Kaczmarek

muzyka: Kamel Tuszyński i Ewa Gądek

wideo: Amadeusz Nosal

obsada: Maria Dąbrowska, Michał Kosela, Karolina Krawiec, Barbara Lewandowska, Maciej Litkowski, Grazyna Madej, Piotr Mokrzycki, Piotr Tokarz

premiera: 9.12.2017

TAGI: Maciej Podstawny, Joseph Conrad, Szczecin, Wałbrzych, Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego, Teatr Współczesny,

Udostępnij

SKOMENTUJ

lub [zaloguj się](#)

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:
jeden razy osiem jako liczbę:

KOMENTARZE (1)

**FAN** | 2018-01-23 12:49:40

Dobra recenzja, z punktu widzenia stylu i podejścia!

Cytuj